

EMIL ZOLA

MOJE NIENAWIŚCI

PRZEDMOWA DO MES HAINES

1866

e-edition

© www.e-biblioteka.com

A.D. MMIV

Nienawiść jest święta.

To oburzenie ludzi odważnych i nieugiętych, waleczna wzgarda tych, których dręczy małość i głupota. Nienawidzić to znaczy kochać, to znaczy mieć gorącą i szlachetną duszę, to znaczy mocno przeżywać odrazę do rzeczy haniebnych i bezmyślnych.

Nienawiść przynosi ulgę, nienawiść wymierza sprawiedliwość, nienawiść czyni wielkim.

Zawsze po każdym buncie przeciw małościom mego stulecia czułem się młodszy i dzielniejszy. Zawsze rządziły mną nienawiść i duma; odosobnienie sprawiało mi satysfakcję; samotny, nienawidziłem wszystkiego, co raniło sprawiedliwość i prawdę. Jeżeli jestem dziś coś wart, to dlatego że jestem sam i że nienawidzę.

Nienawidzę ludzi nieudolnych i bezsilnych; przeszkadzają mi. Wypalili mój zapal i stargali moje nerwy. Nic mnie tak nie irytuje jak te chamy o kaczkowatym chodzie, wytrzeszczonych oczach i rozdziawionych gębach. Gdzie tylko się ruszyłem, zawsze spotykałem paru durniów i dlatego jestem smutny. Pełno ich na drodze, tłum składa się z głupców, którzy zatrzymują cię w przejściu i plują ci w twarz swoją pospolitością. Chodzą, mówią i sam ich wygląd, ruchy i głos ranią mnie do tego stopnia, że podobnie jak Stendhal wołam łajdaka od kretyna. Pytam, co począć z tymi ludźmi? Ciążą na naszych barkach w tych czasach walki i szybkiego marszu naprzód. Opuszczając stary świat, spieszymy ku nowemu. Wieszają się u naszych ramion, rzucają się nam pod nogi ze swoim bezmyślnym śmiechem i bezsensownymi sentencjami; za ich sprawą drogi stają się śliskie i uciążliwe. Na próżno staramy się z nich otrząsnąć, to nic nie pomaga; napierają na nas, duszą, czepiają się. A przecież żyjemy w wieku, w którym kolej żelazna i telegraf elektryczny unoszą nasze ciała i dusze ku nieskończoności i absolutowi, w poważnym i niespokojnym wieku, kiedy w umyśle ludzkim rodzi się nowa prawda - i oto znajdują się ludzie nic niewarci i głupi, którzy przeczą teraźniejszości i gniją w ciasnej, cuchnącej kałuży banału. Horyzonty się poszerzają, światło wznosi się i wypełnia niebo. Oni ochoczo nurzają się w letnim błotku i powoli, z rozkoszą trawiają; zamykają sobie oczy, które światło razi, i wołają, że się im przeszkadza i że nie mogą się do woli wysypiać przeżuając siano, czerpane pełną gębą ze złości wspólnej głupoty. Dajcie nam szaleńców, a potrafimy coś z nich zrobić; szaleńcy myślą; każdemu z nich zbyt koncentracja wokół jednej idei złamała mechanizm rozumowania; ci ludzie mają chore umysły i serca, ale ci biedacy są pełni życia i siły. Chcę słuchać tego, co mówią, ponieważ zawsze mam nadzieję, że w ich chaotycznych myślach zabłyśnie jakaś wieczna prawda. Ale, na miłość boską, trzeba wytepić głupców i miernoty, tępaków i kretynów; niech powstaną prawa, które pozwolą nam uwolnić się od tych ludzi, wykorzystujących własną ślepotę, aby twierdzić, że jest ciemno. Już czas, aby ludzie odważni i energiczni mieli swój rok dziewięćdziesiąty trzeci: bezczelne panowanie miernot zmęczyło świat, trzeba wysłać masę miernot na plac de Greve.

Nienawidzę ich.

Nienawidzę ludzi, którzy zamykając się w ramach jakiejś egoistycznej idei, chodzą, ciasno stłoczeni, stadami i spuściwszy głowy patrzą w ziemię, aby nie widzieć wielkiego światła na niebie. Każde stado ma własne bóstwo, fetysza, na którego ołtarzu składa w ofierze wielką

ludzką prawdę. Jest w Paryżu wiele setek takich ludzi, po dwudziestu, po trzydziestu w każdym zakątku, którzy z wysokości swoich trybun uroczą przemawiają do ludu. Uparcie bronią swoich małych interesów, dostojnie kroczą wśród całkowitej pospolitości, a kiedy podaje się w wątpliwość ich niemądry fanatyzm, wznoszą okrzyki rozpacz. Wszyscy, którzy ich znacie, moi przyjaciele, poeci i pisarze, uczeni czy po prostu żądni wiedzy, wy, którzyście pukali do drzwi tych poważnych ludzi zamykających się, aby sobie polerować paznokcie, powiedzcie razem ze mną, śmiało i głośno, tak aby tłum was usłyszał, że wyrzucili was ze swego ciasnego kościoła jako jego strachliwi i nietolerancyjni strażnicy. Powiedzcie, że wyśmiali wasze niedoświadczenie, doświadczenie bowiem polega na zaprzeczaniu każdej prawdzie, która się różni od ich błędu. Opowiedzcie historię swego pierwszego artykułu, kiedy przyniósłszy uczciwą i pełną przekonania prozę otrzymaliście odpowiedź: „Chwali pan utalentowanego człowieka, którego my nie uważamy za utalentowanego, a zatem nikt nie może go za takiego uważać.” Piękny widok przedstawia ten inteligentny i sprawiedliwy Paryż! Istnieje gdzieś, w górze lub w dole, ale na pewno w jakiejś odległej strefie, jedna i absolutna prawda, która rządzi światem i wiedzie nas ku przyszłości. Tutaj zaś istnieje sto prawd sprzecznych i zwalczających się nawzajem, sto szkół obrzucających się obelgami, sto beczących stad, które odmawiają poruszania się naprzód. Jedni żałują przeszłości, która nie może powrócić, inni marzą o przyszłości, która nigdy nie nadejdzie; ci, którzy myślą o chwili obecnej, mówią o niej jak, o wieczności. Każda religia ma swoich kapłanów, każdy kapłan ma swoich ślepców i swoich eunuchów. O rzeczywistość nikt się nie troszczy; toczy się prawdziwa wojna domowa, bitwa dzieci bombardujących się śnieżnymi kulami, olbrzymia farsa, w której przeszłość i przyszłość, Bóg i człowiek, kłamstwo i głupota to uległe i groteskowe marionetki. Pytam, gdzie są ludzie wolni, całkowicie swobodni, ci, którzy nie zamykają swych myśli w ciasnym kręgu dogmatów, którzy szczerze dążą ku światłu, bez obawy, że jutro sobie zaprzeczą, troszczący się jedynie o sprawiedliwość i prawdę? Gdzie są ludzie, którzy nie są członkami zaprzysiężonych klik, którzy nie klaszczą na znak dany przez przywódcę - Boga lub władcę, lud czy arystokrację? Gdzie są ludzie samotni, żyjący z dala od stad ludzkich, aprobujący każdą wielką sprawę, gardzący koteriami i kochający wolną myśl? Kiedy ci ludzie mówią, nadęci głupcy złoścą się i przytłaczają ich swoją masą; potem wracają do swego przeżuwania i pełni powagi zwycięsko udowadniają jedni drugim, że to wszystko głupcy.

Nienawidzę ich.

Nienawidzę nędznych kpiarzy, młodych ludzi, którzy szydzą, nie umiejąc naśladować dostojnej powagi swych tatusiów. Bywają wybuchy śmiechu jeszcze bardziej pozbawione treści niż milczenie dyplomatów. W naszej niespokojnej epoce istnieje rodzaj nerwowej i podszytej strachem wesołości, która mnie drażni dotkliwie, jak dźwięk pilnika przeciąganego między zębami piły. Ach, zamilknijcie już, wy wszyscy, którzy staracie się zabawić publiczność, nie umiecie się już śmiać, wasz śmiech jest tak cierpki, że boją od niego zęby. Wasze dowcipy są smutne, wasze zgrabne pozy mają wdzięk ruchów połamańców, wasze karkołomne skoki to dziwaczne koziołki, w których się żałośnie przewracacie. Czy nie widzicie, że my wcale nie żartujemy? Popatrzcie, sami płaczecie. Po cóż się zmuszać i wysilać, żeby uznać za zabawne to, co jest ponure? Nie tak śmiano się dawniej, kiedy jeszcze można było się śmiać. Dziś radość zamieniła się w spazm, wesołość w szaleństwo. Nasi dowcipnicy, znani z dobrego humoru, to ludzie posepni, którzy biorą dowolne wydarzenie

lub dowolnego człowieka do ręki i ściskają go tak długo, aż się rozleci, jak niedobre dzieci, które najlepiej bawią się zabawkami wtedy, kiedy je łamią. Nasza wesołość to wesołość ludzi, którzy pękają ze śmiechu widząc, jak przechodzień przewraca się i łamie nogę. Ludzie śmieją się ze wszystkiego, nawet kiedy nie ma po temu najmniejszego powodu. Toteż jesteśmy bardzo wesołym narodem; śmiejemy się z naszych wielkich ludzi i z naszych zbrodniarzy, z Boga i diabła, z innych i z samych siebie. W Paryżu istnieje cała armia ludzi podsycających publiczną wesołość; dowcip polega na tym, aby być głupim na wesoło, tak jak inni są głupi w sposób uroczysty. Żałuję, że jest tak dużo ludzi dowcipnych, a tak mało ludzi prawdomównych i samodzielnie myślących. Za każdym razem, kiedy widzę, jak uczciwy młody człowiek śmieje się, aby sprawić przyjemność publiczności, współczuję mu; żal mi, że nie jest dość bogaty, aby żyć nic nie robiąc i nie zaśmiewać się niegodnie. Ale nie żal mi tych, którzy umieją się tylko śmiać, a nie umieją płakać. Nienawidzę ich.

Nienawidzę durniów udających pogardę, tępaków wołających, że nasza sztuka i literatura umierają piękną śmiercią. Są to puste mózgi, wyschnięte serca, ludzie zagrzebani w przeszłości, którzy pogardliwie kartkują dzieła żywe i dyszące gorączką naszego wieku i oznajmniają, że są ciasne i nic niewarte. Ja widzę inaczej. Nie dbam o piękno i doskonałość. Kpię sobie z wielkich okresów sztuki. Interesuje mnie życie, walka, napięcie. Dobrze się czuję w moim pokoleniu. Wydaje mi się, że artysta nie może pragnąć innego środowiska, innej epoki. Nie ma już mistrzów, nie ma szkół. Żyjemy w okresie całkowitej anarchii i każdy z nas jest buntownikiem, który myśli, tworzy i walczy we własnym imieniu. Chwila dzisiejsza dyszy pragnieniami i niepokojem: czekamy na tych, którzy uderzą najmocniej i najcelniej, których pięści będą dość silne, aby zamknąć usta innym, i każdy nowy bojownik ma tę niejasną nadzieję, że to on będzie jutrzejszym dyktatorem, jutrzejszym tyranem. A ponadto cóż za rozległy horyzont! Czujemy, jak mocno tłuką się w naszych sercach prawdy przyszłości. Jeżeli bełkoczemy, to dlatego że mamy za wiele do powiedzenia. Jesteśmy u progu wieku nauki i praktyki i chwilami chwiejemy się jak pijani w obliczu wielkiego światła, które wschodzi przed naszymi oczami. Ale pracujemy, przygotowujemy dzieło naszych synów; jesteśmy teraz na etapie burzenia, w momencie kiedy kurz unoszący się z tynku wypełnia powietrze, a gruz wali się z hałasem. Jutro gmach zostanie odbudowany. Nam przypadnie pałaca radość, rozkoszny i gorzki ból narodzin; nam przypadną namiętne działania, swobodne okrzyki prawdy, wszystkie wady i wszystkie cnoty stojące u kołyski wielkich czasów. Niech ślepcy negują nasze wysiłki, niech widzą w naszych walkach konwulsje agonii, podczas gdy są to pierwsze odgłosy narodzin. To są ślepcy.

Nienawidzę ich.

Nienawidzę chamów, którzy nas pouczają, pedantów i nudziarzy, którzy odmawiają praw życiu. Jestem za swobodnym przejawianiem się geniuszu ludzkiego. Wierzę w nieprzerwaną ciągłość wyrazów ludzkiej duszy, w nieskończoną galerię żywych obrazów i żałuję, że nie będę mógł żyć zawsze, aby towarzyszyć wiecznej komedii o tysiącu różnorodnych aktów. Jestem tylko człowiekiem ciekawym. Głupcy, którzy nie mają śmiałości patrzeć w przód, patrzą do tyłu. Tworzą teraźniejszość z zasad przeszłości i pragną, aby przyszłość, ludzie i ich dzieła brali wzór z minionych czasów. Nadchodzące dni będą się rządzić własnym rozumem i każdy z nich przyniesie jakąś nową ideę, nową sztukę, nową literaturę. Ile społeczeństw, tyle różnych dzieł, a społeczeństwa będą się wiecznie przekształcać. Ale tępaki nie chcą poszerzyć

ram; ustalili listę dzieł już stworzonych i otrzymali w ten sposób prawdę względną, którą uważają za prawdę absolutną. Nie twórcie, ale naśladowajcie. I oto dlaczego nienawidzę ludzi głupio poważnych i głupio wesołych, artystów i krytyków, którzy bezmyślnie pragną z wczorajszej prawdy uczynić prawdę dzisiejszą. Oni nie rozumieją, że idziemy naprzód i że pejzaże się zmieniają.

Nienawidzę ich.

A teraz wiecie już, co ukochałem piękną miłością młodych lat.

KONIEC

tłum . Hanna Morawska

opr . jotmo